

Tamtego dnia zmierzch zapadł dużo wcześniej niż zwykle, a noc, która nastała, była wyjątkowo mroczna i zimna. Drzewa ugięły się pod porywistym wiatrem, a wąskie, wydeptane przez chłopców ścieżki ogarnęła absolutna pustka. Koty, które zwykle dumnie przechadzały się nocami po wsi w poszukiwaniu wystawionych przez gospodynie resztek, tym razem pozostały w ukryciu, bojąc się choćby wyściubić nosa ze swoich kryjówek. Nawet karczma została przedwcześnie zamknięta, choć zwykle tętniła życiem aż do wczesnych godzin porannych. Tym razem nic nie wskazywało na to, aby ktokolwiek chciał ją odwiedzić. Gwiazdy i księżyc skryły się za chmurami i jedynym źródłem światła były gasnące już świece w chatach małej wioski stojącej pośrodku gęstego boru. Nieprzenikniony mrok szybko więc ogarnął osadę. Coś wisiało w powietrzu, lecz ciężko było to dokładnie opisać. Coś kazało mieszkańcom tej małej wsi, potocznie nazywanej Żagiew, czuć niepokój. Jednak mrok, pustka i uczucie strachu były jedynie nędzną namiastką tego, co miało się wydarzyć tej nocy.

Stojąca z brzegu wsi wiekowa już stajnia była chlubą Żagwi. Zbudowana z bukowego drewna kryta dachówkami, a nie strzechą, z porządnymi okiennicami i wytrzymałymi drzwiami. Były w niej szybkie i zahartowane konie, kosztowały jednak one tyle, że jedynie wójt miał dwa, a reszta musiała liczyć zwykle na co majątniejszych przejezdnych.

Wanda, bo to od niej właśnie wszystko się zaczyna, była szesnastoletnią uczennicą stajennego. Rękę do koni miała stanowczą, ale łagodną, nie jadła dużo, nie marudziła i zawsze chętnie zabierała się do pracy, toteż stary już mężczyzna – Miron – kilka lat temu po śmierci rodziców dziewczyny przygarnął ją jako pomoc. I wyszło mu to na dobre, bo ciężko było o lepszego pomocnika niż ona. Jedynym minusem było to, że Wanda była dziewczęciem pełnym wigoru i chętnym do każdej przygody. Z chłopcami po wsi biegała, walczyła drewnianymi atrapami mieczy, strzelała z procy do garnków glinianych powywieszanych na płotach, a celna była jak nikt inny. Na koniu natomiast jeździła najlepiej w całej Żagwi. Toteż dziewczyna nie mogła zmarnować nocy. Miron poszedł spać wcześniej, więc Wanda ubrała się w lnianą luźną koszulinę, sweter, spodnie bawełniane i skórzane ciżemki. Na ramię zarzuciła torbę, po czym czmychnęła z jednoizbowej chaty, którą dzieliła z Mironem. Cichutko zamknęła za sobą drzwi, uważając, by nie zbudzić głośno chrapiącego mężczyzny, co nie było trudne, gdyż zawsze spał on jak niedźwiedź, i pewnie nawet najazd upiórów na wieś nie zdołałby go obudzić.

Kiedy była już na dworze, poczuła przenikliwy chłód i ucieszyła się, że wzięła ze sobą sweter. Puściła się biegiem do oddalonej o parę metrów stajni. Była ona zamykana szczelnie na noc, bo konie często były obiektem westchnień chłopców, a złodziei, niestety, nie brakowało. Dla Wandy nie była to przeszkoda, a jedynie kolejna sposobność do zabawy. Już w ciągu dnia przygotowała się do tego włamania. Obeszła stajnię i – będąc na jej tyłach – wspięła się na ustawione skrzynie. Do okna wciąż brakowało jej co najmniej pięciu łokci. Chwyciła więc linę, którą przygotowała wcześniej, obwiązała się i zaczęła wspinaczkę. Po chwili stała już w futrynie okna. Zeskoczyła na antresolę, na której przechowywano siano. Zeszła drabiną na dół. Jeden z koni, kary ogier, obudził się i zarżał głośno. Wanda schyliła się lekko i podbiegła do swojego ulubieńca.

- Spokojnie Czart, cicho. Zobacz, co dla ciebie mam. – Wyjęła z torby przewieszanej przez ramię, piękne czerwone jabłko. Na ten widok Czart mruknął i trącił Wandę nozdrzami. Dziewczyna podała koniowi przysmak i sięgnęła po kaganek. Zapaliła go, stwierdziła, że koń mniej się będzie bał, a i jej będzie łatwiej. Kiedy Czart był zajęty przeżuwaniami jabłka, dziewczyna ruszyła do małego aneksu Mirona. Stało tam biurko, z którego suflady Wanda wyjęła zapasowy klucz, a następnie otworzyła ciężką kłódkę. Kiedy drzwi stajni stanęły przed nią otworem, Wanda po raz kolejny poczuła podmuch wiatru. Przez chwilę mrok wydał jej się nieco straszny, ale szybko odegnała od siebie złe myśli i wróciła do Czarta, po drodze zdejmując z haka ogłowie. Odstawiła kaganek i przygotowała Czarta do jazdy, co przyjął z lekkim niezadowoleniem, mlaskając nerwowo. Wanda uśmiechnęła się do zwierzęcia i pogładziła go po umięśnionym karku. Zdecydowała się na jazdę na oklep. Pragnęła jedynie krótkiej przejażdżki, żadnych całonocnych fenomenów. Chwyciła się mocno grzbietu zwierzęcia i odbiła się od ziemi, odruchowo przerzucając nogę przez konia. Czart zarżał, ale nie poruszył się. Wanda spięła go do stępu. Poczuła się cudownie rozluźniona, kiedy wyjechali ze stajni i piaskową ścieżką ruszyli na wschód, ku pięknemu lasowi. Kiedy przejechali przez wieś, Wanda spięła Czarta do klusu, a po chwili nawet do galopu. Drzewa i krzewy zmieniły się w rozmałą zieloną plamę, a Wanda poczuła się naprawdę wolna i szczęśliwa, galopując pod gwiazdami w otoczeniu natury. Zajechali już całkiem spory kawałek, kiedy nagle Czart zwolnił, po czym zatrzymał się. Zarżał niespokojnie, zaczął wierzcąc i dyszeć. Wanda rozejrzała się nerwowo, jednak nie dostrzegła nic niepokojącego. Dziewczynę zdziwiło zachowanie konia, gdyż był on najodważniejszym wierzchowcem, jakiego знаła. Jeżeli się wystraszył, to z pewnością nie bez powodu.

- No już, cicho. Nic się nie... - Wanda poczuła jak słowa więzną jej w gardle. Ogarnęło ją przerażenie. Nie strach, taki jaki czuje się, kiedy w nocy coś puka w szyby, ale autentyczne przerażenie. Mrozące krew w żyłach uczucie, odbierające rozsądek, blokujące racjonalne myślenie i wszelkie odruchy.

Wanda nie potrafiła zrobić nic innego niż wpatrywać się w trupio bladą postać mającą kilka metrów przed nią. Była to kobieta, a może raczej to co z niej zostało, bo teraz bardziej przypominała zwłoki w stanie rozkładu niż postać ludzką. Jej głowa była praktycznie całkowicie łyśa, jedynie parę nędznych kłębów ciemnych, pozlepianych włosów. Czaszka pokryta była cienką warstwą szarej skóry w niektórych miejscach odsłaniającą biel kości. Tam, gdzie powinny być oczy, ziały dwa czarne tunele. Wypełzały z nich larwy, aby następnie sunąć po przerażającej twarzy i upaść na ściółkę leśną. Twarz straszdyła rozciągnięta była w przerażającym wyrazie, a tuż przy rogach ust skóra popękała zupełnie, odsłaniając zuchwę i zęby. Język miała fioletowy i dziwnie opuchnięty, ledwo mieścił się w ustach. Postać ubrana była w białe łachmany, potargane i ubrudzone błotem, krwią i innymi substancjami, których Wanda nie umiała opisać. W dłoni trzymała szmatę ociekającą posoką. Jednak to, co napawało dziewczynę duszącym wrażeniem nadchodzącego końca, był widok tego, co towarzyszyło kobiecie. Dosiadała ona szkielet konia. Wybielałe kości zwierza trzymały się razem, złęczone pradawną i mroczną magią. Czerwone ślepie zjawy dosłownie płonęły złem, wwiercając się w Wandę. Zmorę otaczały czarne obłoki o zarysie ludzkiej sylwetki. Śmiały się przerażająco, a był to najokropniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek Wanda miała okazję słyszeć. Dzwonił jej w uszach i dziewczyna opamiętała się dopiero, kiedy Czart sam zaczął galopować. Chwyciła pewnie uzdę, dławiąc w sobie krzyk przerażenia. Czuli

dokuczliwy ból w pośladkach od ciągłego obijania się o grzbiet Czarta. Wanda starała się nie patrzeć za siebie, jednak to było silniejsze od niej. Co chwila odwracała głowę i spoglądała na wątłą sylwetkę bladej Mary. Nie miała już złudzeń, to z całą pewnością była Mora. Jedno z najstraszliwszych upiórów, jakie widział świat. Niosła wyłącznie śmierć i zniszczenie wsioł, przez które przejeżdżała wraz ze swoimi mrocznymi towarzyszami.

Blade ciało zjawy wyraźnie odcinało się od nocnego tła. Jej łachmany powiewały lekko na wietrze. Nagle szkielet konia stanął dęba i zarżał przeraźliwie. Wanda jęknęła i przyspieszyła Czarta, który sapał ze zmęczenia. Mimo, że znajdowała się całkiem spory kawałek od Mory, kiedy ta ruszyła leśną ścieżką, Wanda wciąż przebywała w jej polu widzenia.

Czart dawał z siebie wszystko, najwyraźniej rozumiejąc straszliwe zagrożenie i mknął szybciej niż kiedykolwiek. Minęło zaledwie kilka minut, zanim dotarli do rozwidlenia ścieżek. Jedna, prowadziła prosto do wioski, którą już było widać. Druga, wyprowadziłaby ich z lasu na niskie połoniny, z których rozciągał się widok na całą Żagiew. Wanda zatrzymała się na sekundę. Mogłaby pogalopować do wioski, ostrzec część ludzi. Może komuś udałoby się uciec. Pytanie brzmiało: Czy mogłoby się jej udać? Podążając drugą ścieżką wydostałaby się z lasu, uciekła od Mory. Widmo podąży do wioski, nie będzie się trapić ściganiem jednej dziewczyny.

Ktoś mógłby powiedzieć, że Wanda postąpiłaby podle. Że pamiętałaby tylko o sobie. Prawda była jednak taka, że myślała wówczas tylko o swoim przetrwaniu. Nie kalkulowała, ile osób może uratować, tylko czy sama przeżyje. Nie zastanawiała się, co będzie z matkami, z dziećmi. Co stanie się z dobrodusznym, mocno śpiącym Mironem. Nie kierował nią zdrowy rozsądek, a instynkt przetrwania.

Ponownie spięła Czarta do galopu i wybrała drugą ścieżkę. Szybko wyjechała z lasu. Dopiero na połoninach zwolniła, aż w końcu zatrzymała się i spojrzała na Żagiew z góry. Dzieliła ją od wioski niewielka odległość, toteż wszystko doskonale widziała. Niestety. Wiatr szarpał ją za blond włosy, kiedy wpatrywała się w wioskę. Osada nie miała wysokich murów, broniących ją przed najazdami. Nie miała bram, które możnaby zamknąć. Nie posiadała celnych łuczników, którzy mogliby zalać wroga strzałami. Nie strzegł jej nawet najmniejszy garnizon strażników. Była zupełnie bezbronną, małą osadą. Żagiew płonęła jasno, niczym gwiazda. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że w płomieniach ujrziała udręczoną ludzką twarz. Na ten widok przeszedł ją dreszcz. Najbardziej Wandę zakłuł obraz folwarku wójta w zgłiszczach i dogasające już ruiny stajni. Jej wzrok zatrzymał się dłużej na największej chacinie w całej wiosce, należała ona do wielodzietnej rodziny. Mieszkali tam sami chłopcy. Wanda bardzo często się z nimi bawiła. Kilku z nich uczyła jazdy konnej, a oni w zamian pomagali jej szczotkować konie. Pamiętała, jak mocno ciągnęli ją za warkocze. Przekomarzali się, ale byli kimś, kogo Wanda mogła nazwać przyjaciółmi. Dziewczyna była prawie pewna, że widzi małe ciała chłopców wywleczone przed chatę.

Nie słyszała żadnych krzyków, żadnych błagań o litość. Tylko przeraźliwą, martwą ciszę.

– Niech bogowie mi wybaczą. – Nie wiedziała, o jakich bogach mówi. Nie wiedziała, czy jacykolwiek istnieją. Wiedziała jednak, że żaden człowiek, który tam zgiął, nie wybaczyłby jej opuszczenia wioski, pozostawienia bez pomocy. Jeżeli Bóg jest taki miłośniwy jak mówią zakonnicy, to tylko on jest w stanie jej to wybaczyć.

Wanda stała w bezruchu, puszczać wolno lejce Czarta. Koń schylił kark i przeżuwał wolno trawę. Dziewczyna czuła, jak szczypią ją oczy, pozwoliła, by po policzkach popłynęły gorzkie łzy. Przetarła nos grzbietem dłoni, łkając cicho. Czuła się . . . potwornie. Gdyby pojechała w dół, gdyby wbiegła do jakiegokolwiek chaty, może uratowałby się ktoś jeszcze. – Tylko czy jest sens gdybać, Czarciu? – zapytała bardziej siebie niż konia, klepiąc go lekko po karku.

Ten sam gest wykonała wcześniej w stajni, pełna cudownego, młodzieńczego wigoru i radości. Tym razem jednak czuła rozdierającą pustkę i strach. W całym swoim życiu, nie była tak przerażona i miała nadzieję, że to uczucie nigdy się już nie powtórzy. Westchnęła. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Nie dalej jak dwa dni drogi z połonin jest miasto. Może powinna tam się udać i spróbować ostrzec mieszkańców przed zgubą. Czy ktokolwiek by jej uwierzył? Opowie o Morze. Jeżeli szczęście jej dopisze, to znajdzie pracę w stajni. W tamtym momencie nie pozostawało jej nic innego niż nadzieja. Spięła Czarta i ruszyła kłusem przed siebie, zaciskając dłonie na lejcach.

Powiadają, że co człowieka nie zabije, to uczyni go silniejszym. Wanda była więcej niż pewna, że nic nie da jej więcej siły niż stanięcie oko w oko z demonem śmierci. Jeżeli jej to nie zламаło, to nic już nie zdoła. Ani bieda, ani głód. Było to dość mierne, a właściwie żadne pocieszenie. Jednak jedyne, na jakie mogła liczyć.

Mora zniknęła równie tajemniczo i nagle, jak się pojawiła, pozostawiając po sobie śmierć i pożogę, o czym świadczyły zgłiszczyska wioski i spopielone ciała jej mieszkańców. Rozpłynęła się jak śmiercionośna mgła. Nie pozwalała o sobie jednak zapomnieć, co jakiś czas nawiedzając folwarki, dworki, osady, farmy i nawet mniejsze miasta wraz ze swoim demonicznym pochodem, dosiadając kościanego konia. Postrach, jaki siała, był ogromny. Ostrzegały przed nią opowiadania pewnej dziewczyny, która tułała się po całym Śląsku dosiadając swojego karego wierzchowca. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła, skąd przybyła, ani kim jest. Jednak błysk w jej oku, smutek na młodej twarzy i sposób, w jaki opowiadała historię o Morze, sprawiały, że ludzie wierzyli, że zjawia niosąca śmierć i zniszczenie istnieje naprawdę...